



FORTUNATEEM

Scars

Bizny zapisane na skórze

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktorka prowadząca: Barbara Lepionka

Ilustracje na okładce i wewnątrz książki: FortunateEm

Droga Czytelniczko!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<https://beya.pl/user/opinie/scars1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

ISBN: 978-83-283-9157-4

Copyright © FortunateEm 2022

Copyright © Helion S.A. 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

*Dla każdego, kto kiedykolwiek poczuł się niewystarczający.
Jesteś wystarczający. Każdy jest. I każdy jest wyjątkowy.*



Prolog

Vafara

Listopad

Po serii niekończących się zawodów, jakie przeżyłam w ciągu ostatnich siedmiu dni, czekała mnie jeszcze wisienka na torcie — cotygodniowy obowiązkowy niedzielny obiad w domu rodzinnym.

Jak każdej niedzieli w ciągu minionych siedmiu miesięcy wstałam z łóżka i bez przekonania powiedziałam sobie „będzie dobrze”. Napiłam się ciepłego mleka z miodem, wzięłam długi, gorący prysznic, wysuszyłam włosy, spięłam je w ciasny kok, przyglądałam odstające sprężynki, których nie udało mi się ujarzmić, i nałożyłam makijaż.

Czerwona szminka, która miała zwiększyć moją pewność siebie, idealnie obrysowała moje nieidealne usta. Brązowa kredka do brwi udoskonaliła moje niedawno wyregulowane, ale mimo to wciąż nieidealne brwi. Zalotka wywinęła, a tusz pogrubiał i wydłużył moje nieidealne rzęsy. Podkład wygładził nieidealny koloryt mojej skóry. Korektor i bronzer poprawiły nieidealne rysy mojej twarzy.

A potem ubranie.

Czarny, klasyczny biustonosz zasłonił moje nieidealne, przekłute kolczykami piersi. Majtki z kompletu zakryły moje nieidealne pośladki. Czarna sukienka opięła moje nieidealne kształty. Była prosta, bez żadnych dodatków — długi rękaw, dekolt w kształcie litery „V”, sięgała mi za kolano. Całości dopełniły wysokie czarne szpilki, które skorygowały mój nieidealny wzrost.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze, które stało tuż przy moim łóżku. Wyglądałam znośnie. Sukienka była jedną z tych, które nie podkreślały atutów, ale też nie ujawniały ich braku. Była prosta, skromna i wiedziałam, że zdenerwuje moją matkę. Makijaż ją zadowoli — kochała czerwone usta. Buty będą w porządku. Fryzura zostanie skomentowana jako do poprawy, bo niesforne kosmyki, które kręciły mi się przy twarzy, nigdy nie chciały się podporządkować i nienagannie ułożyć.

Gdy włożyłam do uszu duże platynowe kolczyki w kształcie kół, poczułam się tak, jakbym szła na pogrzeb. Były zimne i wyrachowane jak moja matka — w końcu to był prezent od niej na moje dwudzieste urodziny.

Odetchnęłam dokładnie osiem razy, zanim odwróciłam się i udałam prosto do salonu, z którego wzięłam torebkę. Wrzuciłam do niej klucze, kluczyki do auta i telefon. Potem ruszyłam jak na ścięcie do domu, w którym zawsze będę *nieidealna*.

Drogę z dzielnicy View Ridge do North Admiral pokonywałam poważnie w czterdzieści sześć minut. Dzisiaj zajęło mi to godzinę i osiem minut. Gdybym nie wyjechała wcześniej, spóźniłabym się siarczyście, doprowadzając tym swoją matkę do szału. „Bycie na czas” oznacza pojawienie się przynajmniej piętnaście minut wcześniej — tak twierdziła.

Sutton Dahle, moja matka, była kobietą sukcesu. Ubrana zazwyczaj w białą, idealnie wyprasowaną, a wcześniej wykrochmaloną bluzkę z długimi rękawami oraz czarną bądź grafitową ołówkową spódnicę z wycięciem na udzie. Marynarki wkładała tylko do pracy. Szpilki nosiła za to wszędzie, nawet w domu. Jej ciemnobrązowe włosy zawsze były spięte w ciasnego koka, z którego *nigdy* nie uciekały nawet pojedyncze włoski. Minę miała o każdej porze dnia tę samą — czujną i groźną. Wyglądała, jakby podejrzewała każdego — absolutnie każdego — o to, że gotów jest do niej strzelić, bo złapała go, albo dopiero złapie, na większym czy mniejszym grzeszku. Nie winiłam jej za tę podejrzliwość, prowadziła przecież najlepsze biuro detektywistyczne w całym Seattle.

Mój ojciec, Conall Dahle, był z kolei wielokrotnie odznaczonym komendantem policji. Gdy nie nosił munduru, wybierał drogie białe koszule oraz garniturowe spodnie w kolorze, który akurat wkładała w danym dniu moja matka. Zawsze musieli być tak cholernie dopasowani! Szpakowate włosy ojca były krótko ścięte, bez wariacji, na całej głowie

jednej długości — matka nie lubiła dłuższych. Nienawidziła też zarostu, więc ojciec się golił.

A ja nienawidziłam niedziel. Dzisiaj, gdy otworzyła mi gospośnia i przekroczyłam próg domu, poczułam, że będzie gorzej niż zwykle. Byłam spięta, nerwowa i ciągle przyglądałam włosy, by nic nie odstawało. Dostawałam szału, bo odkąd skończyłam studia i zaczęłam pracę w biurze, matka nigdy nie żądała, bym w niedzielę przybyła do nich wcześniej, jeszcze przed tym cholernym obiadem. A skoro dziś dostałam wiadomość, żebym wpadła na kawę, musiało być nieciekawie.

Nie pomyliłam się. Okazało się wręcz... koszmarne. Po przejściu przez długi korytarz ciągnący się w nieskończoność i skręceniu w stronę jadalni usłyszałam znajomy głos. Moja kuzynka Dahlia, córka jedynej siostry mojego ojca, trajkotała jak najęta. Zamarłam przed wejściem do pomieszczenia, bo usłyszałam kolejny głos, tym razem męski, i już wiedziałam. Wiedziałam, że to czas na panikę, bo czekała mnie katastrofa.

Odliczyłam od dziesięciu do jednego, normując oddech, który nagle stał się urywany, i bardzo powoli ruszyłam przed siebie. Moje kroki były ciężkie, jakby moje ciało protestowało przed tym spotkaniem. Mimo to weszłam do jadalni z uniesioną wysoko głową, chłodnym wyrazem twarzy i pustym spojrzeniem. Nakładanie masek opanowałam do perfekcji. Skoro nie byłam *idealna*, musiałam grać *niezniszczalną*.

— Vafie! — krzyknęła moja kuzynka, która zauważyła mnie jako pierwsza.

Wstała od stołu. Miała na sobie krwistoczerwoną sukienkę, która eksponowała jej zaokrąglony brzuch i obfity biust. Blond pukle kręciły się jej wokół twarzy i spadały swobodnie na piersi. Podeszła do mnie z szeroko rozpostartymi ramionami, na co wyraźnie się skrzywiłam. Przytuliła mnie, więc sztywno ułożyłam dłoń na jej łopacie, ale nie poruszyłam się. Nienawidziłam się przytulać. Nienawidziłam, gdy ktoś mnie dotykał.

— Mój Boże, Vafie, wyglądasz, jakbyś przyjechała na pogrzeb — skomentowała rozbawiona, odsuwając się ode mnie. Zlustrowała mnie krytycznym spojrzeniem, zapewne wyśmiewając w myślach moje szerokie biodra, i głośno westchnęła. — Czarny sprawa, że twoja zimna mina jest jeszcze zimniejsza.

— Dziękuję, uznam to za komplement — mruknęłam.

Przeniosłam wzrok na swoich rodziców, którzy siedzieli przy sporych rozmiarów dębowym stole wraz z mężczyzną o ogromnych brązowych oczach. Przyglądał mi się z nieskrywanym zaciekawieniem, a gdy go na tym przyłapałam, posłał mi lekki uśmiech. Co dziwne, nie był kpiący ani zarozumiały. Był zwykły.

— Matko, ojcze — odezwała się, bo przecież wymagali, bym prezentowała *nienaganne* maniery. — Dzień dobry wszystkim.

— Dzień dobry, Vafaro. — Matka poruszyła się na swoim miejscu, odwracając się całym ciałem w moim kierunku, i krytycznie zmierzyła mnie wzrokiem. — Dobrze wyglądasz — stwierdziła.

Następnie wróciła do poprzedniej pozycji, a ja zerknęłam na ojca, który jedynie skinął mi głową.

Nie zdążyłam zaprotestować, gdy Dahlia złapała mnie za rękę i pociągnęła ku nieznanemu. Mężczyzna wstał i wyciągnął do mnie dłoń, więc niepewnie podałam mu swoją.

— Vafie, poznaj mojego narzeczonego...

— ...Elijah, bardzo mi miło — dokończył brązowooki. — Piękna sukienka.

— Dziękuję.

Wyswobodziłam dłoń z jego uścisku i zapadła niezręczna cisza. Nic nadzwyczajnego, ale Dahlia nie lubiła ciszy. Gdy usiadłam obok niej przy stole, złapała Elijaha za rękę i pociągnęła go, by objął jej ramię. Moja matka skrzywiła się nieznacznie na ten akt bliskości.

— Ciociu, skoro już jesteśmy w komplecie — zaczęła z rosnącą ekscytacją w głosie moja kuzynka — to chciałabym zdradzić cel naszej wizyty. Mianowicie: jestem w ciąży!

Powstrzymałam się przed parsknięciem. Przecież nie byliśmy ślepi.

— W zasadzie to celem naszej wizyty jest zaproszenie państwa na nasze wesele — sprostował Elijah.

Wolną dłonią wyciągnął z marynarki dwie koperty i ułożył je na stole przed moimi rodzicami. Dahlia przesunęła jedną z nich przede mnie. Rodzice udawali zaskoczonych, a ja po prostu sięgnęłam po kopertę z moim imieniem napisanym brzydkim pismem i wyjęłam z niej zaproszenie. Forma niespecjalnie mnie zaskoczyła. Skorzystali z szablону, który nie pozwalał na oryginalność. Sześć zdjęć mojej kuzynki wraz z narzeczoną w polach o nieregularnych kształtach oddzielonych

od siebie białym obramowaniem. W środku wydrukowano standardową formułkę i uzupełniono ją o moje imię, datę oraz miejsce, gdzie odbędzie się uroczystość.

— Planujemy pobrać się w Ballard Bay Club — oznajmiła Dahlia. — W czerwcu będę już trochę po rozwiązaniu. Na pewno będzie przepiękna pogoda i będzie można posiedzieć nad wodą!

Jej ekscytacja sprawiła, że poczułam cholerne zmęczenie. Mówiła z przesadną ekspresją i mocą. Nie byłam szczególnie towarzyska, a gdy przebywałam w pobliżu ludzi, którzy mieli za dużo energii, odnosiłam wrażenie, że podkradają też moją. Jak wampiry. By mieć jej jeszcze więcej.

Czekał mnie długi i cholernie męczący niedzielny obiad.

Po wyjściu kuzynki z narzeczonym sięgnęłam po telefon. Kirby, moja przyjaciółka, atakowała mnie mnóstwem wiadomości. Inaczej niż ja, niedzielę spędzała na randkowaniu z kolejnym nieszczęśnikiem, który napisał do niej na Instagramie. Była podekscytowana szerokością jego ramion i wielkością przyrodzenia, którego przedstawił jej zeszłej nocy.

Już miałam jej napisać, że ostatnie, czego w tej chwili potrzebuję, to czytanie o rozmiarze narządów płciowych obcego faceta, ale nie zdążyłam, bo podeszła do mnie matka. Idealnie w momencie, w którym na ekranie mojego telefonu pojawiło się zdjęcie grubego członka trzymanego przez męską rękę. A pod nim wiadomość o niezbyt przyzwoitej treści.

Kirby: Czy ty to widzisz!? OGROMNIASTY!

Wydałam jęk pełen frustracji i przerażenia, po czym z szybkością błyskawicy zablokowałam ekran i odłożyłam z hukiem telefon na blat. Cisza ze strony mojej matki była zatrważająca. Serce waliło mi w piersiach, bo jak zawsze musiała zbudować napięcie, zanim wyrzuciła z siebie to, co myśli.

— Wysłanie tego typu wiadomości jest nie tylko obrzydliwe, ale i karalne, moja droga. Przekaż Kirby, że za dzielenie się nagimi zdjęciami partnera bez jego zgody grożą konsekwencje. — Głos matki aż ociekał obrzydzeniem.

Pragnęłam zamknąć oczy i zniknąć.

Kirby najwyraźniej nieświadomie odpaliła bombę, która miała mnie dzisiaj zabić. Ojciec udał się na popołudniową niedzielną drzemkę, a matka tylko czekała na odpowiedni moment. Pewnie zbierała się przez cały tydzień i teraz z radością zmiesza mnie z błotem.

— A skoro już jesteśmy przy temacie... mężczyzn — odezwała się zimno, zajmując miejsce naprzeciwko mnie — nie sądzisz, że dwadzieścia cztery lata, które skończysz za niecały rok, to odpowiedni moment na małżeństwo?

No tak, to było do przewidzenia.

— Cóż, uważam, że...

— Urodziłam cię, mając dwadzieścia cztery lata, a byłam już trzy lata po ślubie z twoim ojcem. Nie wydaje ci się, że wypadaloby zacząć myśleć o założeniu rodziny?

— Myślę, że to czas na...

— Nie myśl, Vafaro, bo nie wychodzisz na tym dobrze. Powinnaś mieć już męża i dziecko, nie młodniejesz ani nie piękniejesz z wiekiem.

Zaczęło się. Nie odezwałam się, gdy zrobiła pauzę, bo to było oczywiste, że przerwie mi trzeci raz. Zawsze przerywała. Za każdym cholernym razem, bo moje zdanie było zupełnie nieistotne. Jak bezwartościowy zlepek liter bez głębszego sensu.

— Twoja babcia chciałaby mieć wreszcie prawnuka. Powinnaś przestać czekać na księcia z bajki, bo nie jesteś księżniczką, a wiara w miłość od pierwszego wejrzenia jest infantylna. Dahlia będzie matką i żoną w przeciągu pół roku. Nie sądzisz, że ty też powinnaś pomyśleć o ustatkowaniu się? Jest od ciebie dwa lata młodsza, Vafaro.

— Nie planuję najpierw zająć w ciążę, a potem liczyć, że nieszczęśnik, który mnie zapłodnił, klęknie na jedno kolano i weźmie odpowiedzialność.

— Nie sugeruję ci, żebyś zachowywała się jak dziwka — odparowała ze złością. — Kolejnego rozczarowania bym nie zniosła.

Kolejnego rozczarowania.

— Myślę, że powinnam już iść.

— A ja myślę, że powinnaś ze mną porozmawiać. — Rozsiadła się wygodniej, układając dłonie płasko na blacie, jakby przesłuchiwała podejrzanego o morderstwo. — Musisz coś zrobić z włosami, sterczą ci wokół twarzy — rozpoczęła gorzko. — Ta szminka jest za jasna i nie

pasuje do twojej karnacji. Nie wiem, czemu mnie nie posłuchałaś i nie kupiłaś ciemniejszej. Sukienka podkreśla twoje wady, widać w niej, jak dużą masz dysproporcję między talią a biodrami, przez co twój biust jest jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości. Jak chcesz się podobać mężczyznom? W ogóle o sobie nie dbasz, Vafaro. Powinnaś być dumną i wyrafinowaną kobietą.

„*Wyrafinowaną*” lepiej pasuje do twoich ust, mamo.

— Nie możesz iść na wesele kuzynki sama, więc radzę ci się wziąć za siebie. Mogłabyś popracować nad figurą i lepiej dobrać kosmetyki, których używasz. W marcu przyjeżdża moja przyjaciółka z synem. Jeśli coś ze sobą zrobisz, może Marcus zgodzi się iść z tobą na to wesele.

Kolejna szpila. Szpila za szpilą. Wbijała mi je za każdym razem, ale ukłucia przestałam czuć mniej więcej trzy lata temu. Przywykłam i po prostu zaczęłam się zgadzać z jej słowami, a ona uważała, że mi pomaga. Im szybciej przestawałam się bronić, tym szybciej się zamykała. Teraz było tak samo.

— Zadzwoń do znajomej i umówię cię na jakieś zajęcia na siłowni i na kilka zabiegów na twarz. Przyda ci się również odżywienie włosów, bo są oklapnięte i matowe.

Czułam, jak zadrgała mi powieka, gdy powoli, choć z niebывałą gracją wstała i oddaliła się... w cholerę.

Odczekałam dziesięć długich minut, wpatrując się w obraz wiszący naprzeciwko mnie. Była to reprodukcja martwej natury Picassa, którą jedenaście lat temu wykonała moja siostra. Lubiła odtwarzać proste geometryczne formy w intensywnych kolorach, bo były kurewsko nieskomplikowane.

Moja reprodukcja *Vanitas Stilleben* Sebastiana Stoskopffa od sześciu lat leżała w składziku na sprzęt ogrodnika, który rodzice postawili dwa lata po wybudowaniu domu.

Były tam też moje chęci do życia i walki z matką.



Rozdział 1.

Royce

Marzec

Bębniłem palcami w metalowy parapet, wybijając rytm piosenki, która leciała kilka minut temu w studiu, i paliłem papierosa. Dym wypełniał moje płuca i wracał do ust, by za moment rozpląnąć się w powietrzu.

Byłem zmęczony tym dniem. Od dziesiątej, czyli od godziny otwarcia studia, do teraz, czyli do dwudziestej pierwszej, zaliczyłem trzy sesje. Dwa covery były w porządku, prosta robota zarówno u pierwszego klienta, który chciał wytatuować sobie czarną opaskę wokół nadgarstka, by zakryć imię swojej byłej, jak i u drugiego, który zapragnął zmienić pająka na ramieniu w czarne serce. Za to trzecia klientka, którą była nadmiernie gadatliwa kobieta po pięćdziesiątce... wykończyła mnie do cna. Chciała upamiętnić swojego męża, więc wymyśliła sobie, że przyniosę jej na przedramię zdjęcie z jego dowodu. Odmówiłem, rzecz jasna, bo nie wykonuję portretów. Zdenerwowała się, rzucając mi w twarz, że jestem nieprofesjonalny, i wyszła, by po piętnastu minutach wrócić z innym zdjęciem. Zeszło nam tak sześć razy, zanim zrozumiała, że nie wytatuuję jej cholernego portretu. Stanęło na prostym zarysie twarzy jej męża. Owal, charakterystyczny podkreślony wąs i włosy, które miał tylko na skroniach. Do tego okulary w okrągłych, grubych oprawkach i klientka była wniebowzięta.

Lubiłem swoją pracę, ale nienawidziłem klientów, którym nie zamykały się gęby. Wampiry energetyczne zawsze sprawiały, że głowa mi

pękała. Wolałem ciszę przerywaną szemraniem płynącej wody lub szumem drzew, nic więcej nie sprawiało mi przyjemności. No, może jeszcze zabawa z psami. I nastawienie mojej matki, która zawsze była przygotowana, że jeden z jej synów przyjedzie zniecka tylko po to, by zjeść kawałek jej słynnej tarty.

Drzwi po mojej prawej otworzyły się z impetem i weszła przez nie wytatuowana od stóp aż po szyję Esther, moja pracownica. Wyciągnęła paczkę fajek i zapalniczkę, by moment później z głośnym jękiem zaciągnąć się nikotyną. Spojrzała na mnie dopiero po wypaleniu połowy papierosa.

— Wyglądasz jak gówno, szefie — rzuciła gorzko.

Byłem ubrany w długą koszulkę z rękawem do nadgarstka. Nadruk na niej przedstawiał kolorowe doodle, które zaprojektowała żona mojego brata wraz z dziećmi. Koszulka była zmięta i poplamiona tuszem, ale lubiłem w niej pracować. Do tego miałem na sobie czarne dresy ze zwężanymi nogawkami, beanie zakrywającą moje za długie już włosy i niezasnurowane trapery. Nie wyspałem się, to prawda, ale nie czułem się jak gówno. Dzisiaj wyjątkowo byłem po prostu zmęczony trajkoczącą pięćdziesięciolatką, której zmarł mąż.

— Dzięki Est, to pocieszające — mruknąłem, zginiatając butem niedopałek. — Możemy już zamykać?

— Nie, jeszcze jedna klientka na dzisiaj.

O zgrozo, byle nie chciała mnie zmusić do portretu.

— Jakiś konkretny podał?

— Czarna róża między piersiami. Ma być niewielka, więc powinien się z nią szybko uwinąć.

— Jasne, przygotowałaś stanowisko?

— Pewnie, że tak, szefie.

Esther była moją asystentką od chwili, gdy otworzyłem dla klientów drzwi swojego salonu. Wcześniej, podczas remontu, przychodziła codziennie, by patrzeć na zmiany, jakie zachodziły w budynku. Kilka razy mnie zaczepiała, ale miałem w zwyczaju olewać nieznanomych. Ona jednak nie odpuściła i gdy tylko zmieniłem tabliczkę z „zamknięte” na „otwarte”, podsunęła mi pod nos CV. Zatrudniłem ją i dzięki temu od czterech lat miałem asystentkę, na którą nigdy się nie wkurwiłem. Matka uważała, że skoro z nią wytrzymałem, to znak, że może

być *tą jedyną*. Niestety nie wierzyłem w to, by Amor postanowił strzelić mnie w tyłek drugi raz. Otrzymałem jeden strzał i wystarczająco dużo przez to wycierpiałem.

Byłem wypalony i nie zamierzałem szukać drewna, by rozpalic swoje wewnętrzne palenisko. W środku miałem ruinę i zgliszcza.

Samotność była lepsza. Cisza przyjemniejsza. A złamane serce po czasie wcale nie bolało. Bo jak mogło boleć coś, co było martwe?

Wszedłem do studia, zostawiając Esther samą, i udałem się za ladę, gdzie zostawiłem tablet. Zacząłem poprzedniego dnia projekty, które miałem zamiar umieścić w katalogu na drugą połowę roku. Te ze stycznia schodziły szybciej, niż się spodziewałem.

Pół godziny później drzwi do studia otworzyły się powoli i dotarł do mnie wysoki, irytujący głos. Uniosłem głowę z trwogą wypisaną na twarzy i ledwo powstrzymałem jęk. Weszły dwie kobiety, a w zasadzie dziewczyny. Brunetka, która wyrzucała z siebie słowa niczym karabin maszynowy pociski, trzymała za rękę szatynkę o obojętnym wyrazie twarzy. Ta spokojna była ubrana w białą koszulę włożoną w czarne, garniturowe spodnie do kostki i wysokie czerwone szpilki. Te buty pasowały do jej krwistoczerwonych warg, które zacisnęła, gdy jej przyjaciółka szarpnęła ją za rękę. Brunetka natomiast miała na sobie zwykłą bordową sukienkę z dużym dekoltem. Uwydatniał jej spory biust. Wyglądała zajebiście wyzywająco.

— Dobry wieczór — odezwała się głośno z nienaturalnym entuzjazmem. — Słyszałam, że ma pan ładne prace, więc postanowiłam przyjść z przyjaciółką. Czy to nie będzie dla pana problem? Postaram się nie gadać za dużo. Będę tylko obserwować, ma pan na pewno jakieś wolne krzesło dla towarzyszki niedoli, prawda?

Skrzywiłem się, próbując skupić myśli na tym, o czym mówiła, ale ten skrzekliwy ton i milion słów na minutę skutecznie doprowadziły mnie do irytacji. Było późno, a ja nienawidziłem towarzyszy klientów. Byli męczący i arcywkurwiający.

— Proszę usiąść na kanapie — burknąłem, patrząc na nią. Posłała mi szeroki uśmiech, więc spojrzałem na swoją klientkę. — Zapraszam do siebie.

Dziewczyna podała swojej pochłoniętej moimi rysunkami przyjaciółce torebkę i bez słowa ruszyła w moją stronę. Szła sztywno, stawia-

jąc kroki z nienaturalną gracją, jakby je wyćwiczyła. Gdy znalazła się bliżej, owiął mnie delikatny zapach jej perfum — mieszanka czegoś słodkiego, ostrego i piżmowego.

Z bliska wyglądała o wiele ciekawiej. Jej twarz pokazywała zmęczenie, makijaż nie tuszował worków pod oczami, a te oczy... były tak bezdennie puste i zimne, jakby była ze stali. Miały interesujący miodowy kolor z brązowymi plamkami wokół źrenicy.

— Asystentka mówiła o róży między piersiami — odezwałem się. — Ma pani jakąś inspirację lub konkretny pomysł?

— Nie, w zasadzie pomyślałam, żeby narysował to pan po prostu pisakiem i później wypełnił na czarno — odezwała się. Jej głos był naczyniony subtelną chrypką i miał przyjemną, ciepłą barwę. — Chyba że ma pan jakieś wzory? Słyszałam, że robi pan świetne projekty.

Zmarszczyłem brwi, zastanawiając się, od kogo o mnie słyszała, i bez słowa zmieniłem folder na tablecie, który przede mną leżał. Otworzyłem wolne wzory z kwiatami i przejrzałem je w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby ją zainteresować. Miałem jeden czarny wzór, który mógłby pasować. Róża miała idealnie prostą łodygę, z której wychodziły cztery gałązki z różną liczbą liści i kolców. Dwa listki spadały swobodnie z lewej strony. Pączek był rozwinięty, ale nadal miał kształt litery „U”.

Uniosłem tablet na ladę i zwróciłem w kierunku klientki. Przez chwilę się zastanawiała, dokładnie przyglądając się każdemu szczegółowi, aż podniosła głowę i obdarzyła mnie miłym, choć pozbawionym emocji uśmiechem.

— Idealna.

— Świetnie — mruknąłem. Zwinąłem tablet i skierowałem się do wyjścia zza lady. — Zapraszam za mną.

Przeszliśmy do przyległego pomieszczenia, w którym znajdowały się dwa stanowiska do tatuowania. Est siedziała przy swoim i bawiła się maszynką, która dzisiaj przyszła. Na nasz widok wstała i uśmiechnęła się promiennie.

— Dobry wieczór — zaczęła. — Wszystko ogarnęłam. Trzeba przygotować wzór?

— Tak, zrób kalkę z projektu, który jest otwarty. Trzy różne wielkości. — Wręczyłem jej tablet. — A pani może się rozebrać — dodałem do klientki.

Dziewczyna bez słowa skierowała się do leżanki, przy której wszystko już na nią czekało. Esther wyszła, a ja podszedłem do szafki, w której trzymałem papierową taśmę. Wybrałem średnią grubość, bo klientki często miały problem z tym, że za bardzo widać im piersi, gdy tatuuję — tak jakby mnie obchodziły ich cycki.

Wróciłem do szatynki, która zdążyła zdjąć swoją koszulę, złożyć ją i położyć na krześle przy biurku. Siedziała na leżance naga od pasa w górę. Nadal z obojętną miną.

Podąłem jej taśmę, ale odmówiła ruchem głowy.

— Jeśli to dla pana nie problem, wołałabym nie zaklejać sutków — odezwała się. — Nie cierpię taśmy na sutkach. — Skrzywiła się, unosząc na mnie wzrok.

— Jasne, żaden problem — mruknąłem. — Proszę się położyć.

Wykonała polecenie, układając się wygodnie, a ja zająłem miejsce na swoim fotelu i założyłem czarne rękawiczki. Na początek oderwałem kawałek ręcznika papierowego i sięgnąłem po płyn dezynfekujący.

— Gdzie konkretnie ma być tatuaż?

Uniosła się na lewym łokciu i krytycznie spojrzała na miejsce pomiędzy swoimi piersiami. Jej twarz ani drgnęła, chłodna maska trzymała się doskonale. Wskazała sam środek swojej klatki piersiowej i przeciągnęła palcem aż pod piersi. Przytaknąłem, więc wróciła do poprzedniej pozycji.

Najpierw zdezynfekowałem miejsce, potem przesunąłem po jej skórze maszynką do golenia i znów zdezynfekowałem, a na koniec wytarłem do sucha.

— Chce pani maść przeciwbólową? — zapytałem rzeczowo. — Na mostku boli.

— Nie, poradzę sobie — mruknęła.

Kiwnąłem głową.

Esther weszła do pomieszczenia z trzema kalkami i podała mi je. Z uśmiechem zlustrowała biust mojej klientki. Zaświeciły jej się oczy, gdy zobaczyła kolczyki. Dziewczyna miała niewielkie, ale bardzo ładne piersi z ciemnymi sutkami, które doskonale pasowały do koloru jej skóry. Takiego... mlecznego karmelu. W sutkach miała sztangi przytrzymywane przez dłonie kościotrupa. Wyglądało to ciekawie.

— Zajebicie fajne kolczyki — skomentowała Esther. — Na zamówienie?

— Tak.

Zimny ton szatynki ostudził zapał mojej asystentki, co było dziwnie satysfakcjonujące. Była bardziej mrukliwa niż ja, czego nie spodziewałbym się po kimś z jej wyglądem. Była bardzo delikatną dziewczyną o łagodnych rysach.

Est wyszła, mówiąc, że zajmie się przyjaciółką mojej klientki, więc zostaliśmy sami. Chwyciłem wzór średniej wielkości, który rozmiarem mniej więcej pasował do obszaru, jaki wskazała do dezynfekcji, i delikatnie przyłożyłem do jej klatki piersiowej.

— Może pani wstać i spojrzeć w lustro na ścianie za panią. Albo mogę podać mniejsze lustro.

— Jest dobrze — mruknęła, nawet nie patrząc na to, gdzie ułożyłem wzór.

Klient nasz pan.

Przystąpiłem do tatuowania, a ona ani razu się nie skrzywiła. Nie poruszyła się. Nie syknęła i nie odezwała się. Gdy pytałem, czy wszystko w porządku, kiwała głową i na nowo zamykała oczy, relaksując się.

Po nałożeniu maści odsunąłem się i podałem jej lustro. Podniosła się powoli, z wyraźną niechęcią, i wzięła je ode mnie, a moment później zaczęła się przeglądać.

— W porządku? — zapytałem.

— Tak, wygląda świetnie — przyznała, spoglądając na mnie z lekkim uśmiechem. — Dziękuję.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Odebrałem od niej lustro i sięgnąłem po folię. — Proszę się położyć.

Zabezpieczyłem tatuaż, wyrecytowałem formułkę na temat tego, jak o niego dbać, i po odebraniu pieniędzy zamknąłem studio.

Była dwudziesta druga trzydzieści, gdy w końcu skończył się ten nieszczęsny poniedziałek.

Vafara

Modliłam się od listopada o poznanie kogoś miłego, kto mógłby uratować mój nieszczęsny tyłek przed kandydatem na wesele, którego wybrała dla mnie matka. Syn jej przyjaciółki, jak podkreślała co niedzielę, był

prezesem firmy transportowej, wyglądał *przyszwoicie* i miał nienaganne maniere. Rzygać mi się chciało, gdy czułam uwielbienie, jakim otoczyła tego gnojka. Przez to wiedziałam, że jak go zobaczę, dostanę ataku serca.

— Vafie, do chuja, słyszysz ty mnie? — warknęła Kirby podniesionym głosem.

— Jestem, jestem — mruknęłam. — Znów marzyłam o niejakim Marcusie, który ma poznać moje szanowne dupsko podczas niedzielnego obiadu.

Siedziałyśmy na kocu rozłożonym przy brzegu Green Lake i piłyśmy świeżo mieloną kawę z termosów. W koszyku piknikowym, który Kirby nosiła na nasze spacerunki, czekała na mnie wielka kanapka z pieczonym tofu i porządną porcją warzyw. Na deser niezmiennie brownie z czerwonej fasoli, które moja przyjaciółka miała w lodówce zawsze.

Jako psychodietetyk Kirby próbowała nauczyć mnie utrzymywania zdrowej relacji z jedzeniem. Uważała, że w dużej mierze czuję się źle przez to, jak się odżywiam i sypiam, a nie przez to, że siedzą we mnie skutki kilku załamań nerwowych. Cóż, mogła mieć rację, bo gdy mój organizm był wyregulowany, moja niechęć do życia była mniejsza niż obecnie.

Chociaż podejrzewałam, że mój aktualny nastrój był w dużej mierze zasługą zbliżającego się spotkania z Marcusem Boloneyem i tego, że matka straszyla mnie nim od niemal czterech miesięcy.

— Mówiłam, że powinnaś zjeść kanapkę, bo tofu jest jeszcze ciepłe — przypomniała Kirby, wyciągając do mnie jedzenie. — Za dużo myślisz, Vafs — dodała gorzko. — Dlaczego tak bardzo się przejmujesz tym gościem?

— Bo czuję, że moja matka specjalnie wybrała jakiegoś buca, który będzie mnie obrzucał gównem.

— Może znajduję ci jakiegoś starego kumpla, który z chęcią odegra rolę twojego faceta? Przecież możesz nagle wpaść na miłość swojego życia i twoja matka nie będzie mogła nic z tym zrobić — zaoferowała z entuzjazmem. Potrząsnęła kanapką, która wciąż tkwiła w jej wyciągniętej ręce, więc ją odebrałam i westchnęłam. — No proszę cię, ostatnio miałaś dobry humor.

— Zaczęłam nowy obraz — mruknęłam, odgryzając kawałek przepysznie pachnącej kanapki. — Zrobiłam podmalówkę, która wyglądała

fajnie, i wyszłoby idealnie, gdybym ją dopieściła kolorem, ale mój szanowny kot postanowił przedrzeć mi płótno niemal na pół. Trochę mnie to zdołowało, bo miałam zamiar zrobić zdjęcia kubków, które ostatnio ulepiłam, właśnie na tle tego płótna.

— Storm jest chujem — skwitowała. Tak, cóż, mój kot bywał chujem. — Ale nie załamuj się, przecież zrobisz nowy obraz, a kubki nie uciekną. Musisz przestać wywierać na sobie presję — jęknęła, zapychając buzię kanapką. — Jak coś spieprzysz, to spieprzysz. Wszystko można naprawić lub machnąć drugi raz, Vafs.

Tak, tylko nie rozbitą psychikę, która tańczyła tango ze złamanym sercem.

— Znajdziemy ci faceta, który doprowadzi twoją matkę do szału, co ty na to?

Gdybym miała pewność, że nie odetną mnie od rodziny i pracy, przyprowadziłabym na to wesele miłego starszego pana, który brzydko pachnie i potrzebuje gotówki na alkohol. Niestety moja matka nie uwierzyłaby w tak szaloną miłość. A nie miałam innego pomysłu na to, kogo podstawić jej pod nos, żeby się zamknęła i przestała wciskać mi na siłę patałacha, który lizał jej tyłek przy każdej okazji. Od listopada dzwoniła do niego co dwa tygodnie, mówiąc o tym, jak cudownie byłoby mieć go w rodzinie. Przez to zaczęłam popadać w paranoję, że uda jej się nas zeswatać. Byłam już tak zmęczona ciągłymi pretensjami, że obawiałam się tego, co zrobię, jak tak dalej pójdzie. Momentami miałam wrażenie, że pewnego dnia dla świętego spokoju obudzę się w białej sukni i z pierścionkiem na palcu.

Moje życie w pięćdziesięciu procentach było żartem, w dwudziestu żalosaną imitacją egzystencji i w ostatnich trzydziestu — cholerym gównem. Gdybym straciła Kirby, nie miałabym nikogo, kto przyjechałby do mnie w środku nocy, by uspokoić mnie podczas napadu paniki połączonego z histerycznym pragnieniem zdechnięcia gdzieś w środku lasu.

— Myślę, że moja matka nie nabierze się na kogoś... przerysowanego — mruknęłam, przypominając sobie, jak... barwnych znajomych miała Kirby.

Odgryzłam kolejny kęs kanapki i przeniosłam wzrok na jezioro. Pływające po nim kaczki radośnie trzepotały skrzydłami, bo dwójka małych

dzieci rzucała do nich chlebem. Mała blondyneczka w czerwonej sukieneczce, rajstopkach i wiosennym płaszczyku oraz trzymająca ją za rączkę blondynek w czarnych jeansach i czerwonej bluzie z kapturem. Obok nich siedział barczysty mężczyzna o prostych brązowych włosach.

— Coś ogarnę, Vafs, nic się nie bój. Jak poznasz Marcusa, będziemy miały obraz mężczyzny, którego twoja matka chciałaby przy tobie zobaczyć, i damy jej całkowitą odwrotność. Nie ma co się martwić na zapas.

Gdyby to było tak proste.

Pod maską wyrachowanej zimnej suki potrafiłam jedynie się nad sobą użalać. Gdy nie malowałam, nie lepiłam z gliny albo nie śpiewałam, czułam, że powoli umieram. A z racji tego, że ostatnio nie miałam siły na nic z tego, co stanowiło moją pasję... Cóż, nie było zbyt kolorowo.

Dusiłam się wszędzie poza swoim loftem znajdującym się na poddaszu starej siłowni, którą wcześniej prowadził mój dziadek. Spędziłam tam wiele lat, chowając się przed gniewem matki i złośliwością starszej siostry, która mnie nienawidziła.

Dusiłam się przy każdym oprócz Kirby, bo nienawidziłam, gdy ludzie taksowali mnie oceniającym wzrokiem, z góry zakładając, że byłam wyrachowaną suką z brzydką twarzą i wielkim tyłkiem.

Dusiłam się rozpaczą, która trawiła mnie od środka.

Nienawidziłam pozerów, ale sama byłam pozerką. W końcu nieustannie udawałam, że nic ani nikt mnie nie rusza.



Rozdział 2.

Vafara

Nerwicę natręctw od psychozy odróżnia między innymi realistyczne myślenie — osoba chora na nerwicę nie traci kontaktu z rzeczywistością i jest świadoma, że to, co myśli i robi, to całe gówno, po prostu nie ma sensu. Ale i tak to robi, bo nie potrafi przestać. Bo ten przymus... to jest za silne. Po prostu, cholera, za silne.

Psychozy nie miałam. Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne chyba tak. Przekładałam kubki milion razy z prawej na lewą stronę i z lewej na prawą, zawsze gdy nie mogłam sobie ze sobą poradzić. Tak jak teraz. W ciągu nocy ulepiłam cztery kubki, wypaliłam je i do tej pory zdążyłam nawet jeden pomalować w niebieskie kwiatuszki z zielonymi łodygami. A skoro zrobiłam to w takim tempie, to znaczy, że coś mnie przerastało.

Dzisiaj był ten nieszczęsny dzień — niedziela. Od samego rana krzątałam się po łofcie, przenosząc kubki i obrazy co rusz w inne miejsca. Pijąc poranne mleko z miodem, przekładałam między palcami łyżeczkę, a jedząc kolorowe kanapki, poprawiałam pomidora, tak by leżał idealnie na środku plastra sera. Wiedziałam, że przesadzam, ale nie mogłam się opanować. Musiałam coś robić, obojętnie co, ale coś musiało się dziać. Byłam znerwicowana i przerażona tym, co zastanę w domu rodzinnym.

Miałam się stawić o dwunastej, bo równo pół godziny później matka chciała podać obiad. Pierwszy raz od nie wiem kiedy postanowiła, że samodzielnie ugotuje, i było to co najmniej niepokojące. Nienawidziła

gotować, odkąd sięgałam pamięcią. Skąd nagle taki pomysł? Żeby się przypodobać jakiemuś nadętemu bucowi w garniturze? Zapewne.

Włosy spięłam w idealnego koka, makijaż zrobiłam *upiększający*, usta pomalowałam nowym odcieniem bordowej pomadki. Założyłam długie kolczyki w kształcie trójkątów, które przez swoją wielkość podkreślały moją dość smukłą szyję. Na nogi wciągnęłam czarne garniturowe spodnie do kostki, a na stopy włożyłam bordowe szpilki. Do tego prosta bordowa koszula, którą wsadziłam do spodni. No i jeszcze pasek z rażącym znaczkiem Gucci, którego nienawidziłam. Od chwili, gdy go dostałam, chciałam go wyrzucić. Był paskudny, ale matka lubiła, kiedy go nosiłam, i to tak, żeby znaczek był widoczny z kilometra. Przecież świadczył o bogactwie.

Spojrzałam na swoje odbicie krytycznym wzrokiem. Wyglądałam znośnie, ale nadal nie porywałam. Z jednej strony wolałabym włożyć stare szmaty, by Marcus stwierdził, że do niczego się nie nadaje, ale z drugiej wiedziałam, że gdybym to zrobiła, matka zgotowałaby mi piekło.

Głowa do góry, Vafs.

Zgarnęłam z komody torebkę i przygotowane wcześniej ciasto w brytfance, po czym skierowałam się do wyjścia. Postanowiłam upiec marchewkowe, bo wiedziałam, że mój ojciec kiedyś je lubił. Tyle że wtedy robiła je matka, a nie ja, więc znając życie, jak wyjdę po południu, wyrzuca ją do śmieci. Trudno. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Wyszłam z domu na miękkich nogach, z trudem dotarłam na dół i do samochodu. Podczas jazdy byłam rozedrgana, parkując też. Nawet gdy wyszłam z auta z torebką i ciastem w rękach, w środku trzęsłam się jak galareta. Skręcało mi się coś w brzuchu.

Wkroczyłam do rodzinnej posiadłości z przyklejonym do ust uśmiechem i nie tracąc czasu, udałam się do kuchni, w której na moje niezdziwienie stały moja matka i jakaś obca kobieta, prawdopodobnie jej przyjaciółka — Nancy Boloney.

— Dzień dobry — przywitałam się.

— Dzień dobry — odpowiedziała nieznajoma, obrzucając mnie krytycznym spojrzeniem.

Oceniała mnie. Bezcelnie.

Sama mogła mieć pięćdziesiąt kilka lat. Ubrana była w elegancką garsonkę w zielonym kolorze, która podkreślała jej platynowe, farbowa-

ne włosy upięte w kucyk. Miała duże brązowe oczy i małe, pomalowane na krwistoczerwony kolor usta. Wyglądała... jak zimna suka.

— Vafaro, dlaczego nie włożyłaś sukienki? — Matka zapytała mnie z wyczuwalną reprimendą w głosie.

Cóż, nie włożyłam, bo zawsze krytykowała moje nogi. Mimo że ćwiczyłam i biegałam, by utrzymać zdrową i szczupłą sylwetkę, ona zawsze miała uwagi. Przez cholerne biodra, które miałam szerokie po babci. Odziedziczyłam po niej figurę pomiędzy klepsydrą a... gruszką. Miałam spory tyłek i wcięcie w talii, ale moje piersi były mikroskopijne. Do klepsydry sporo mi brakowało, a moja matka ciągle mi dogryzała i wytykała te mankamenty. Bo przecież moja siostra miała *idealne* proporcje — duże piersi i średni tyłek.

— Uznałam, że nie chcę — odpowiedziałam. — Upiekłam ciasto marchewkowe.

Postawiłam blaszkę na wyspie kuchennej i przesunęłam w kierunku matki.

Jedno jej zerknięcie na moje biodra wystarczyło, żebym zamknęła się w kokonie obojętności, próbując obronić się przed jej złośliwym komentarzem, który nadszedł niemal natychmiast.

— Nie powinnaś jeść słodczy, Vafaro. Wszystko idzie ci w biodra.

— Nie powiedziałam, że upiekłam je dla siebie — mruknęłam.

Odwrociłam się z obojętną miną i odeszłam do jadalni, w której nikogo nie było. Wyciągnęłam telefon i napisałam do Kirby z prośbą o pomoc. Niestety jedyne, co odpisała, to żebym robiła notatki na temat Marcusa.

Cholerny Marcus Boloney był niskim mężczyzną o wątej budowie. Miałam na sobie szpilki i byliśmy praktycznie równego wzrostu. Jego sylwetka wskazywała na to, że nie był fanem sportu czy... czegokolwiek. Okrągłe okulary w złotych oprawkach podkreślały kolor jego zaczesanych do tyłu i idealnie ulizanych włosów — miedziany. Kojarzył mi się z typowym kujonem z filmów. Oczy miał zielone, matowe i pozbawione blasku zupełnie jak moje życie. Na szczęście ani śladu zarostu. Był ubrany w białą koszulę i sweter bez rękawów. Do tego garniturowe spodnie. Boże, dopomóż, wyglądał dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam. Nie

miał za grosz męskości ani czaru, przez który mogłabym choć pomarzyć o wyjściu ze swojego gównianego stanu emocjonalnego.

Jak mógłby mi pomóc? Zabijając mnie zszywaczem, kurwa.

Nie byłam płytka. Jego wygląd nie trafiał w mój gust, ale postanowiłam, że postaram się go lepiej poznać, bo może był miłym i uroczym mężczyzną? Wygląd to zasłona, która nie ma znaczenia, gdy odkryjemy to, co jest za nią. Dałam więc Marcusowi czystą kartę i pole do popisu podczas obiadu. Niestety jedyne, co dostałam w zamian, to krytyczny wzrok i oceniające uśmiešky, które wymieniał z matką. Przywitał mnie pocałunkiem w dłoń i tyle było z naszej rozmowy. On się nie garnął do pogaduszek, ja również nie.

Matka postanowiła wkroczyć do akcji, gdy odłożyłam widelec.

— Więc, Marcus, kochany, opowiedz nam coś o swoich zainteresowaniach.

— Pani Dahle, co mogę powiedzieć? Jestem zapracowanym człowiekiem. — Westchnął, jakby ledwo wyrabiał, no prawie zrobiło mi się go szkoda. — Podpisałem niedawno kontrakt we Włoszech. Będziemy powiększać bazę klientów w Europie i mam zamiar nawiązać współpracę z tamtejszymi salonami samochodowymi.

— Niebawem — sapnęła matka z udawanym zachwytem. — Vafara na razie pracuje w biurze przy papierach, ale jestem pewna, że przy tobie rozwinie skrzydła.

— Niepotrzebnie pracuje — skomentował od razu, zaskakując mnie i mojego ojca. — Jak już wspominałem, jestem zapracowanym człowiekiem, więc potrzebuję kogoś, kto poprawi mi nastrój po ciężkim dniu. Rozumiem, że pani jest kobietą sukcesu, co wzbudza we mnie podziw, ale wolałbym, by Vafara została w domu. Planuję trójkę dzieci, chcę mieć dużą rodzinę, bo sam byłem jedyńkiem.

Zacisnęłam dłoń w pięści pod stołem i wbiłam paznokcie w skórę. Ledwo powstrzymałam syknięcie. O czym on w ogóle mówił? Czy oni naprawdę swatali mnie z tym palantem?

— Moja córka ma zostać kurą domową? — wtrącił gorzko ojciec.

— Nie, po prostu zarabiam tak dużo, że może robić, co tylko zechce. Nie musi się przemęczać — odparł Marcus. Spojrzał na mnie z fałszywym uśmiechem. — Może porozmawiamy? Chciałbym ustalić szczegóły dotyczące wesela, na które mamy się wspólnie udać.

Boże, błagam, pozwól, bym zakrzuszyła się śliną. Albo zadławiła. Najlepiej na amen. Koniecznie na amen, bo wyjście z tym dupkiem źle się skończy.

— Doskonały pomysł — przyklasnęła moja matka. — Vafaro, zabierz Marcusa na spacer po ogrodzie, powinniście się lepiej poznać.

Chcę poznać się z trutką na mszyce. Błagam, niech ktoś mi jej doda do herbaty.

Marcus wstał i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką, ale byłam na tyle nieuprzejma, że podniosłam się bez jego pomocy. Od razu skierowałam się do wyjścia na taras, z którego schodziło się do ogrodu. Czulałam, że dupiek kroczy zaraz za mną, więc specjalnie przyspieszyłam.

Zajęłam miejsce na huśtawce, a on umościł się obok mnie. Na tyle blisko, że poczułam woń jego perfum. Zdecydowanie nie pasowały do jego naturalnego zapachu. Skrzywiłam się, gdy jego twarz zbliżyła się do mojej.

— Uważam, że lepiej byłoby, gdybyś włożyła sukienkę — oznajmił. — Do kolan, z zabudowanym dekoltem i bez rękawów. Pasowała-by do ciebie niebieska.

Nienawidziłam siebie w niebieskim.

— Nie powinnaś również malować ust na czerwono, bo są zbyt wyzywające. I te spodnie. — Zbliżył się bardziej. — Podkreślają twój krągły tyłek i rozpraszają facetów. Skromna sukienka sprawiłaby, że nie byłabyś taka wyuzdana, kochanie.

O nie. Odsunęłam się gwałtownie, gdy jego oddech owiał mój policzek. Zwróciłam się twarzą w jego kierunku i uniosłam dłoń, po czym położyłam ją na jego ramieniu i odepchnęłam go.

— Nie życzę sobie takiego gadania. Nie życzę sobie warunków i nie życzę sobie słowa „kochanie”. Będę się ubierać tak, jak mam ochotę.

— Nie wydaje mi się — mruknął. — I jeszcze szpilki. Nie zakładaj ich, bo nie lubię, gdy kobieta jest mojego wzrostu.

— Trzeba było urosnąć — warknęłam.

Cholera.

— Nie bądź niewdzięczna, Vafaro, wiesz, jak będzie nam dobrze? — Ułożył dłoń na moim kolanie, więc gwałtownie wstałam. — Jesteś impulsywna, kochanie. Och, a przed weselem poproszę, by matka umówiła cię do swojej fryzjerki. Wie, co lubię, więc na pewno dobrze zajmie się twoimi włosami.

Pierdol się, prostaku.

Pierdol się.

P-i-e-r-d-o-l s-i-ę.

— Jak ci smakowało moje ciasto, Marcusie?

Miałam szczerą nadzieję, że był uczulony na cynamon. I marchewkę.

— Było zbyt mokre.

Ty zapyziały złamasie.

— Nie smuć się, kochanie, nauczysz się mnie zadowalać — dodał.

Nie no, kurwa, byłam na granicy.

— Nie jestem przekonana co do tego wesela. Może rozboleć mnie wątroba.

— Twoja matka powiedziała, że jeśli nie znajdziesz nikogo, a zapewniła, że nie znajdziesz, to pójdziesz ze mną.

— Moja matka może rządzić tylko w tym domu.

I w pracy, z której może mnie w każdej chwili zwolnić.

— Może rządzić w wielu kwestiach, Vafaro. — Rozsiadł się wygodnie, spoglądając na mnie z lubieżnym uśmiechem, a po chwili jego wzrok zatrzymał się na moich piersiach. A raczej w miejscu, w którym mógłby je dostrzec, gdyby nie stanik i nieprześwitująca koszula. — Mam nadzieję, że jesteś dziewczyną.

— Zastanawiam się, gdzie jest ta twoja wychwalana przez moją matkę prezencja i ten czar, bo na razie widzę jedynie tyle, że jesteś seksistowskim dupkiem bez taktu. I z marnym wyglądem.

Odwrociłam się wściekle w stronę domu i bez zastanowienia ruszyłam w kierunku drzwi. Nie zamierzałam dalej marnować czasu z tym kretynem. Weszłam do budynku, po czym udałam się prosto do kuchni, z której zabrałam swoje ciasto. Z jadalni, w której siedzieli nasi rodzice, zgarnęłam torebkę i bez słowa wyszłam.

Pieprzyć nawoływania matki.

Pieprzyć Marcusa Boloneya.

Pieprzyć ich wszystkich.

Wsiadłam do samochodu, odłożyłam ciasto na miejsce pasażera i wyciągnęłam telefon. Wybrałam numer Kirby, odpalając jednocześnie silnik swojego niebieskiego hyundaia. Teraz jego kolor mnie irytował.

— Biuro matrymonialne Kirby Livon, w czym mogę pomóc? — odezwała się moja przyjaciółka po dokładnie dwóch sygnałach.

- Chciałabym poprosić o spotkanie z właścicielką.
— Ach, panna Dahle! Oczywiście, proszę podać dogodny termin.
— Za czterdzieści minut będę przy Green Lake.
— Przyjęłam. Masz żarcie?
— Zbyt mokre ciasto marchewkowe. — Prychnęłam.
— ZROBIŁAŚ DLA TYCH BUCÓW SWOJE CIASTO?! — W jej tonie było słycać oburzenie.
— No.
— Będę z kawą w termosie za godzinę.
— Kocham cię.
— A ja ciebie! — odparła i zakończyła połączenie.

Ułożyłyśmy się z Kirby na kocu w naszym ulubionym miejscu, z którego był najlepszy widok na rodzinę kaczek, które wygrzewały się na wiosennym słońcu.

Kirby miała na sobie zwykłe czarne dresy i różową bluzę z naszytym na środku białym kotkiem. Jej włosy były w kompletnym nieładzie, a na twarzy nie miała ani grama makijażu. Była piękna, naturalna i emanowała pozytywną energią, gdy pochłaniała czwarty kawałek mojego ciasta marchewkowego. Ja w tym czasie piłam kawę z mlekiem, którą zrobiła.

— Dobra, mów, co i jak. I czy patałach rzeczywiście okazał się patałachem — oznajmiła z pełną buzią.

— Wyobraź sobie typowego kujona ze szkoły, który ma okulary i rude włosy. W szpilkach byłam od niego chyba nawet nieco wyższa. Ubrany w koszulę i bezrękawnik. Stereotypowy buc. Powiedział, że powinnam była włożyć sukienkę w niebieskim kolorze, do kolan. Nie powinnam malować ust i nosić tych spodni — wskazałam na swoją garderobę — bo podkreślają moją dupę i wyglądam wyzywająco. A nie, gorzej. Jestem wyuzdana! Generalnie było tak, jak się spodziewałam.

— Czyli twoja matka uważa za ideał typ informatyka. Bez zarostu, tak?

— Oczywiście.

— A jak był zbudowany?

— Jak mój ojciec, czyli prosty jak kijek, bez mięśni i było widać, że jedyny sport, jaki uprawia, to jazda na ręcznym. Bo za tym swoim

biurkiem w firmie to z pewnością masturbuje się do własnego zdjęcia. — Parsknęłam śmiechem, choć walczyłam z obrzydzeniem. — Ha, powiedział, że nie powinnam pracować, bo jest taki bogaty. Zachowywał się, jakbym już była sprzedana. A przecież chodzi tylko o wspólne wyjście na wesele!

— Skurwysyn. A jego matka?

— Tleniona blondyna z naciąganą twarzą, nie miała ani jednej zmarszczki.

Kirby prychnęła, wpatrując się w jezioro, i przez chwilę po prostu myślała. Zapewne kalkulowała w głowie, który z jej znajomych byłby najlepszym kandydatem do tego, by wkurzyć moją matkę, ale jednocześnie przekonać ją na tyle, by uwierzyła w mój związek. Niestety jej mina potwierdzała to, co podejrzewałam — nie było w czym wybierać.

— Powinnyśmy się najebać — postanowiła.

Jej ramiona opadły, przez co i ja zrobiłam się markotna. Jeśli ona straciła nadzieję, to pozamiatane. Mnie nie zostało już nic. Czekąco mnie spektakularne upokorzenie u boku seksistowskiego frajera o ciperskim imieniu.

— Myślę, że zdecydowanie powinnyśmy.

Sięgnęłam po kawałek ciasta, który był na tyle mały, że nie powinien mi pójść w biodra, co w tej chwili zupełnie mnie nie obchodziło. Odgryzłam część dokładnie w momencie, gdy coś z impetem odbiło się od mojej głowy. Ciasto spadło kremem na moją nową bluzkę, a ja zaczęłam się krztusić. Kirby zareagowała od razu i gwałtownie uderzyła w moje plecy, przez co łzy automatycznie napłynęły mi do oczu.

Pieprzone fatum.

— Pseplasam! — krzyknęło jakieś dziecko.

Gdy się uspokoiłam i otarłam łzy, zobaczyłam, że przed moją twarzą stała mała postać z czerwoną piłką w ręce. Chłopiec miał może ze cztery latka, brązowe poskręcane włoski i wielkie niebieskie oczy. Patrzył na mnie przepraszająco.

— Wszystko dobrze?

Uśmiechnęłam się niemrawo, przez co dzieciak się skrzywił i wystawił do mnie małą rączkę.

— Jestem Levi.

— Uhm, Vafara — przedstawiłam się, ściskając jego dłoń.

Kirby szturchnęła mnie łokciem w ramię, ale byłam zbyt skupiona na małym chłopcu, by zareagować. Przez chwilę patrzył na ciasto, które miałyśmy w blaszce, po czym uśmiechnął się do mnie szeroko.

— Mogę ciasto?

— Na miłość boską, Levi — jęknął nieznamy głos za moimi plecami. — Co ty wyrabiasz!?

Odchyliłam głowę, by spojrzeć na osobę, która za mną stała, i z przerażeniem dostrzegłam trzy rosłe sylwetki. *Jezu Chryste.*

Wyprostowałam się, zerkając na Kirby, która gapiła się na mężczyznę za mną z szeroko otwartą buzią, i sama odwróciłam się twarzą do nieznamych. Obok tego po prawej stała dwójka dzieci, bliźniaki — chłopiec i dziewczynka. Blondyn i blondynka w zielonych ubraniach. Ich ojciec był barczystym mężczyzną o prostych włosach zaczesanych do tyłu i miłym spojrzeniu szarych oczu. Obok, najbliżej mnie, stał również rosły mężczyzna o niebieskich tęczówkach i krótkich włosach. A na lewo... facet, który mnie tatuował. Ubrany w czarną koszulkę z długim rękawem, zielone bojówki i beanie. Wszyscy trzej mieli idealną budowę, ostre rysy i zajebiste ładne oczy. Zwłaszcza tatuator. Niebieskie z przebłyskami zieleni. Dostrzegłam to już wtedy, gdy się nade mną pochylał przy tatuowaniu.

Ja pierdolę.

— Przepraszam panią — odezwał się ten w środku. — Levi lubi rzucać piłką, gdzie popadnie.

— W porządku — wydukałam.

— I jest nietaktowny, bo zjada pani ciasto.

— Mam nadzieję, że pójdzie mu na zdrowie — wypaliłam.

— Zapłacę za pani bluzkę — zaoferował mężczyzna. — Mam na imię Rune. — Wyciągnął w moim kierunku dłoń, którą niepewnie ucisnęłam.

— Vafara.

— To moi bracia, Ramone — wskazał na tego z bliźniakami — i Royce — dodał, kiwając w stronę tatuatora. — Przepraszam jeszcze raz.

— Nie szkodzi — mruknęłam.

— A ja mam na imię Kirby! — wtrąciła moja przyjaciółka. Złapała za blachę z ciastem i wyciągnęła ku naszym nowym znajomym. — Częstujcie się, panowie, takie z was wielkoludy, że na pewno zmieścicie po kawałku tego cuda.

— Nie dość, że młody was obżera, to jeszcze my mamy się przyłączyć? — rzucił ze śmiechem Ramone.

— Vafie będzie miło, jeśli docenicie jej ciasto marchewkowe, jest bajeczne — zareklamowała.

Prawdę mówiąc, zrobiło mi się lepiej przez jej słowa. Była jedną z nielicznych osób, które lubiły moją kuchnię, kubki i obrazy. Dzięki niej nie czułam się bezużyteczna.

Pierwszy po kawałek sięgnął Rune, następnie Ramone, który od razu rozdzielił ciasto na trzy równe części i podał dwie swoim dzieciom, a jako ostatni Royce, który unikał wzroku Kirby. Gapiła się na niego jak zakłęta, więc nie dziwiłam się, że czuł się nieswojo.

— Dzięki — mruknął. — Jak tatuaż? — zapytał mnie rzeczowo.

Uśmiechnęłam się nieznacznie, bo to było miłe, że mnie pamiętał. Zapewne przez jego studio przetaczała się ogromna liczba klientów i te trzy tygodnie, które minęły, mogły zatrzeć ślad po mnie w jego pamięci. A jednak nie zatarły.

— Bardzo dobrze — odparłam.

— Pani? — Levi dotknął mojego ramienia, a z niego przemknął palcami na kolczyk. — Upieces mi takie na ulodziny?

Coś ścisnęło się w moim brzuchu. To było niesamowicie kochane. Dzieci były szczerze i autentyczne i to pytanie sprawiło, że poczułam się o wiele lepiej sama ze sobą. Smakowało mu moje ciasto.

— O tak, zdecydowanie — wtrącił Rune, zajądając się. — Jest przepyszne. Moja żona nigdy nie zrobi go tak, żeby było miękkie i mokre. Wyrazy uznania, Vafaro.

Ciepłej.

— Potwierdzam — dodał Ramone. — Najlepsze ciasto marchewkowe, jakie jadłem w życiu.

Jeszcze ciepłej.

— Ja za dwa tygodnie mógłbym świętować kolejną rocznicę otwarcia studia — dorzucił Royce. — Taki marchewkowy tort byłby niezłą konkurencją dla tarty, którą planuje zrobić mama.

Cholera, gorąco.

— Elegancko! — jęknęła podekscytowana Kirby. — Masz wolny termin na tatuaż? Zakochałam się w twoich pracach. Z chęcią się zapiszę, a Vafs zrobi ciasto. Prawda?!

Spojrzała na mnie wzrokiem mówiącym: „ja mam, kurwa, plan doskonały, współpracuj”! Wzruszyłam ramionami, nie chcąc nic spieprzyć, i przeniosłam wzrok na bliźniaki. Chłopiec patrzył na mnie z szerokim uśmiechem, a dziewczynka oblizywała palce.

— Mogę jeszcze? — zapytali równocześnie.

Nigdy bym nie przypuszczała, że uderzenie przez piłkę tak bardzo poprawi mi humor.

Mokre ciasto marchewkowe — jeden, Marcus Boloney — zero.



PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Gdy życie rodzinne jest piekłem,
ból może okazać się ucieczką

Vafara Dahle ma dwadzieścia cztery lata i rodzinne kłopoty. Przede wszystkim z matką, „panią idealną”, która oczekuje od swojej córki wielu rzeczy, jakich ta nie chce, nie potrafi albo po prostu nie może jej dać. Na przykład samej siebie w ślubnej sukni. To, że Vafie nadal pozostaje singielką, nie jest wielkim zaskoczeniem dla Sutton Dahle; ot kolejny przykład na to, jak bardzo jej córka nie spełnia pokładanych w niej nadziei.

Może choć przy okazji wesela kuzynki Vafara zachowa się przyzwoicie i pojawi się na nim z odpowiednim mężczyzną u boku? Najlepiej z perfekcyjnym Marcusem, managerem w firmie transportowej, na myśl o którym dziewczynie robi się niedobrze... Ale Marcus jest tzw. dobrą partią, ma nienaganne maniery, dobrą pracę i jest wzorem wszelkich cnót, słowem – to potencjalny idealny zięć. Czyli żaden materiał na męża. Zdesperowana Vafie postanawia się zbuntować i zrobić sobie tatuaż, którego Sutton oczywiście nie pochwali.

Czy czarna róża, którą między piersiami dziewczyny tatuuje
Royce Faridan, odmieni jej życie na dobre?

Patroni medialni:



16+
beyA
beyA.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-283-9157-4



9 788328 391574

CENA: 44,90 zł